

PRZEWODNIK KATOLICKI



Redaktor:
X. Stanisław Ciałżyński
w Poznaniu.
Telefon Redakcji: 2678.

Pismo ilustrowane dla Rodzin katolickich.

Bezpłatne dodatki:
„Dom Rodzinny“, „Słowo Boże“ i „Opiekun Dzieci“.

Adres do wszelkich przesyłek:
„Przewodnik Katolicki“
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.
Telefon Administracji: 3613.

Przedpłata kwartalna za „Przewodnik Katolicki“ w ekspedycji i w agencjach miejscowych 420 mk., na pocztę, w agencjach zamiejscowych lub pod opaską 500 m. — Cena ogłoszeń 100 mk. za milimetr.

Nr. 47.

Poznań, dnia 19 listopada 1922 roku.

Rok XXVIII.

MIŁOŚĆ OJCZYZNY.

Polska, Ojczyzna, to rzecz wielka, rzecz święta. Każdy człowiek szlachetny swą Ojczyznę kocha i szanuje, a gdy potrzeba, staje mężnie w jej obronie i największe dla niej ponosi ofiary. Jestże miłość ta godziwą i konieczną? Jest ona obowiązkiem człowieka?

Różne przewrotne międzynarodówki, jak socjalistyczna, masonska i inne twierdzą, że patriotyzm i miłość Ojczyzny to stary przesąd i przeżytek; przede wszystkim robotnicy wszystkich krajów, wołają, powinni się kochać, a wtedy wojny ustana i będzie ogólna szczęśliwość na świecie; wtedy będzie sprawiedliwość i równość wszystkich, będzie miłość i zgoda, będzie dobrobyt, pomyślność i zadowolenie powszechne. Jak to się pięknie i ponętnie słyszy! Któżby nie zapragnął tak miłych i wspaniałych obietnic, tak błogich i pożądanых rzeczy i czasów? Któżby nie dążył do ich osiągnięcia i zdobycia? Nietylko nam wolno, ale mamy obowiązek wciąż do nich dążyć i starać się usilnie o ich możliwe spełnienie.

Ale dwie prawdy musimy mieć zawsze przy tem dążeniu na pamięci. Pierwsza prawda, że natura ludzka jest ułonna i pełna dzikich namietności, których nikt zupełnie z niej nie usunie i że człowiek ma wolną wolę i może często iść i iść za swemi namietnościami. Tego nikt nigdy nie zmieni i dlatego doskonałej sprawiedliwości, zgody i miłości nigdy na ziemi nie będzie. Druga prawda, że jeżeli powinniśmy dążyć do udoskonalenia zepsutej naszej natury a przez to do sprawiedliwości, możliwej równości i wzajemnej miłości w wspólnem naszym pożyciu, to nie na drodze wyzucia się z religii i wiary w Boga czynić to należy, jak to chcą fałszywi prorocy powszechnego szczęścia na ziemi,

ale tylko i jedynie na drodze przez Boga ludzkości wskazanej. Kto o tych dwóch prawdach w swem dążeniu zapomina i bez nich myśli się obyć, tego ostateczny wynik sprawy już z góry jest przesądzony, to jest, że bankructwo jego obietnic i mrzonek jest zupełnie pewne.

Natura ludzka ma jednak dzięki Bogu nie tylko złe popędy i skłonności w sobie, ale i dobre. A jeżeli one są wrodzone, jakby z naturą naszą zrosłe i z niej wypływające, to żadna złość i przewrotność ludzka, czy to bolszewicka czy inna, nie zdoła jej zupełnie zniszczyć i wyrugować ze serca. Takim wrodzonym i naturalnem a dobrem uczuciem jest bez wątpienia właśnie miłość Ojczyzny. Skąd ona się bierze w ludzkim sercu? Czy nie ma tam żadnych podstaw i pobudek? Czy jest tam roślina zupełnie sztucznie wyhodowana przez wychowanie i otoczenie, i przez nie też dalej

w swem istnieniu podtrzymywana? Z pewnością, że wychowanie i otoczenie budzi ją najwcześniej, wzmacnia niepomniernie i potęguje. Ale ta miłość nie jest naturze ludzkiej obca i nieznaną. Myli się ten, co sądzi, że gwałtem ją trzeba w ludzkie serce wpajać i sztucznie podtrzymywać, a gdy się tego zaniecha, że ona znika stamtąd natychmiast i bezpowrotnie. Jeżeli miłość Ojczyzny tylko przez wychowanie miała się w sercu rodzić i w dzieciach bywała zaszczipiana przez rodziców, w rodzinach znów przez ich rodziców i t. d., to skąd i kiedy wzięła się ona pierwszy raz u ludzi? Dlaczego znajdujemy ją wszędzie i zawsze u wszystkich narodów, dzikich i cywilizowanych, pogańskich i chrześcijańskich, tak, że dla niej toczyły się od początku świata i toczą się aż do dziś dnia ustawiczne wojny? Jeżeli zaś to



Sw. Cecylja.
(22 listopada.)

Mal. Naujock.

uczucie jest tak sztuczne i niedorzeczne, a tak prztem szkodliwe, że tylko do wojen prowadzi, to dla czego my dziś, poznawszy jego szkodliwość dzięki socjalistom i ich duchowym braciom, nie wyrzekamy się raz na zawsze tego »głupiego przesądu?«

O, nie lekajmy się! Choćby się cały świat stał socjalistycznym i komunistycznym, kochającymi się równo i serdecznie braćmi wszystkich ludzi ani nawet wszystkich robotników, socjalizm nie uczyni, ani wieczystego pokoju na ziemi nie zaprowadzi, bo w swych obliczeniach jeden przedewszystkiem czyni wielki błąd zasadniczy, to jest, że zapomina w nich o zepsutej, niedoskonałej naturze ludzkiej. Za to miłość Ojczyzny, miłość swego języka, swoich zwyczajów, dziejów, rodaków nigdy w sercu ludzkim nie wygaśnie. Ta miłość tak jest trwała, że nieraz przetrwa całe wieki niewoli i prześladowań, jak świad-

czą nasze własne dzieje, albo Górnego Śląska albo nieszczęśliwej Irlandji. Jeżeli zaś czasem zamiera wskutek pokojowego zlania się jednej ludności z drugą, liczniejszą, to w miejsce dawniejszej miłości powstaje nowa, do nowej, przybranej ojczyzny i do nowego, za swój uznanego narodu. Jedynym, jakby nienaturalnym wyjątkiem, są tu może żydzi, którzy rozproszeni po całym świecie, nie zlewają się z narodami, wśród których żyją, ani nie przywiązują się do kraju, w którym mieszkają. Sprawia to między innymi ich nienawiść rasowa i religijna do chrześcijan i wstręt do pracy na roli, która najwięcej serce rolnika do ziemi przykuwa. Wszystkie inne narody, które swą ziemię ojczystą zamieszkują i uprawiają od wieków, mają też zawsze do tej ziemi silne i gorące przywiązanie. Tak było i będzie zawsze.

J. K.

Krzewiciel trzeźwości.

(W siedemdziesiątą rocznicę śmierci ks. Karola Antoniewicza.)

(Ciąg dalszy.)

W wolnych od nauk i ćwiczeń chwilach grywał Antoniewicz na fortepianie, który do klasztoru sprowadził, i wtedy w bogatej i rześisto oświetlonej kaplicy śpiewali nowicjusze zakonni przy wystawionej szopce pieśni nabożne, które on na uroczystość Bożego Narodzenia układał. Jedną z tych pieśni tak się zaczyna:

Do Betlejemu pełni radości
Spieszmy powitać Jezusa małego
Który dziś dla nas — o cudu miłości
Zstąpił na ziemię z nieba wysokiego.

W roku 1844 wyświęcony został Karol Antoniewicz na księdza. Obrządku dopełnił Biskup Gutkowski. Święcenie o rok przyspieszono, aby matka mogła być na prymicjach ukochanego syna. Ale nie doczekała się ona i tej pociechy. Kilka miesięcy pierwej, w lutym, zesła z tego świata, błogosławiąc zdaleka synowi, w którym już czciła kapłana Chrystusowego. Starszą z sióstr swoich X. Antoniewicz dysponował później na śmierć. Pierwszą mszę św. odprawił X. Karol we Lwowie u Św. Piotra. Pierwsze kazanie jeszcze jako kleryk po niemiecku do studentów w Sączu powiedział. Po polsku pierwszy raz przemówił także w Sączu podczas adwentu, w chwili zaprowadzenia Bractwa wstrzemięźliwości. Kazania jego wróżyły znakomitego kaznodzieję, wymowne nawoływanie na drogę krzyża znalazło drogę do serc ludzkich.

W krzyżu rozmiłowany, o krzyżu mówił, o krzyżu pisał, w krzyż ciągle oczy przy. Ofierze Mszy św. wlepił.

Wymowne także miewał kazania o śmierci, bo śmierć przypominała mu utratę tego, co miał najdroższego na ziemi: utratę świątobliwej matki, ukochanej żony i aniołków dzieci. Śmierć budziła w jego sercu smutne wspomnienia. Śmierć jest wielką tajemnicą, śmierć zamyka jedno życie a otwiera drugie, nieznane; śmierć przesyła ludzi z ziemi do wieczności, śmierć największą rozpościera po domach i zagrodach żalność i najwięcej łez wyciska; śmierć zamienia świat piękny w cmentarz ponury, smutny. W kazaniu X. Antoniewicza o śmierci czytamy te słowa:

»Pamiętasz matko na te chwile, gdy dziecko twoje, w któreś złożyła skarby miłości twojej, wilo się jako robak w kolebce, wołało cię po imieniu spalonymi gorączką usteczkami i wyciągało

do ciebie rączki jakoby żebrząc? Pamiętasz jak nad ciepłem jeszcze ciałem jego lzy twoje płynęły? Przyszli przyjaciele i przyjaciółki, to jest jeśliś była w znaczeniu; bo jeśliś była nędzną, ubogą, to podobno nikt a nikt nie zajął. Było pocieszycieli wielu, pociechy mało.»

Kochał z dziecinna miłością Matkę Boską, obchodząc uroczystości ile razy mógł Miesiące Marii. Zwracał się zwłaszcza często w mowie i myśli do Matki Boleskiej.

W Galicji, gdzie X. Antoniewicz przebywał, był lud ciemny, zaniedbany, a pijaństwo i rozpusta wśród niego się szerzyły. Obywatele i księża ubolewali nad tem i usiłowali lud od złych nałogów odprowadzić. Ponieważ pijaństwo jest początkiem wszystkiego złego i prowadzi do zwierzęcej ciemnoty i nędzy, księża zaczęli się krzątać nad zaprowadzeniem Towarzystwa Wstrzemięźliwości. X. Karol Antoniewicz szczerze kochał lud i z całej duszy pragnął dole jego naprawić; on pierwszy podniósł chorągiew trzeźwości, pierwszy wypowiedział bóg pijaństwu w Galicji. On pierwszy jako Apostoł chodził, kazał, nauczał; od pijaństwa, rozpusty i grzechów odwoził a do trzeźwości nakłaniał; on mężów, żony, małżeństwa, zwaśnione rodziny i domy pijaństwu oddane godził, naprawiał, i na drogę trzeźwości i cnoty naprowadzał.

Kiedy w roku 1844 i 1845 Pan Bóg na Galicję niesłychane wylewy i powodzie zesłał, tysiące rodzin wystawione były na głód i nędzę. Włościanin w miłosierdziu zamożniejszych swych braci szukał ulgi i pomocy, a X. Antoniewicz, pragnąc z tej klęski lud ratować, tak z kazalnicy do majątniejszych przemówił:

»Skiął Bóg z tronu chwały swojej, i poczęły się gromadzić czarne chmury i stanęły jak groźne wojsko nad szczytami Tatrów, czekając rozkazów swego wodza. I skinął Bóg, a w mgnieniu oka otworzyły się śluz niebieskie i rześystym strumieniem deszcz lunął, i ciche potoki, co mrucząc sączyły się pomiędzy skałami ukryte, posłyszały głos gniewu Pana swego, a posłuszne temu, który je stworzył, burzyć się poczynają i bystrym jako postanice gniewu Bożego pędem lecą przez twarde opoki ku równinom. Już, już się zbliżają do mieszkań ludzkich, strasznym rykiem i ludziom zapowiadają przyjście swoje, jakoby szydząc mówiły do ludzi: My wykonawcy sprawiedliwości Boskiej, wasza mdła ręka wstrzymać nas nie zdoła. Ludzie, rzućcie się na kolana, wołajcie o miłosierdzie; jeszcze, jeszcze da się może przebłagać gniew Boski. Otwarte kościoły, ale w kościołach pusto; stoją konfesjonały, ale nikt się do nich nie

zbliża; Bóg na ołtarzu, ale nie było, toby przed nim się upokorzył; biją dzwony, ale głuche uszy na nie! Obejdziem się bez Boga, zdawali się ludzie mówić; mamy mosty, domy i jary, te nas obronią. I niebo coraz bardziej się pokrywa, i deszcz coraz gęstszym leje się strumieniem, i wró ścieśnione w korytach potoki i skinał Bóg i wolność im daje. Występują z granic swoich i jakoby dłonie sobie podając, łączą się rzeki, rozhukane tocząc bałwany. I nikną chaty, pola, wsie, ludzie, wał się drzewa, rozsypują mury i wtenczas zawołał lud o miłosierdzie do Boga, a Bóg się zlitował i skinał, i wody wróciły do koryt swoich i rozstąpiły się chmury i po trzech dniach słońce zabłysło i oświeciło całą nędzę nieszcześliwego ludu. Trzy dni jako sen straszny przeminęły. Szuka kmiotek pola swego i znajduje wodę i ledwo gdzie wpośród kamieni i namułu kłosek pszenicy się wydobędzie, aby mu wskazać, gdzie zagrzebane jego nadzieje spoczywają. Szuka kmiotek drogiej chaty, którą po dziadach i pradziadach odziedziczył, i bogaty i zamożny smutno patrzy wkoło siebie, z całego mienia nic nie wyratował tylko tę gromadę dziatek, co go otacza. Cóż mu zostaje? Opatrzność Boska i serca wasze.*

Prawdziwe apostołstwo X. Antoniewicza zaczęło się po krwawych wypadkach galicyjskich. Wtedy wysłany ze współbraćmi swymi między rozhukane tłumy, napracował się, nacierpiał, namodlił więcej

jak ktokolwiek. Dwieście kilkadziesiąt kazań powiedział. A Pan Bóg pobłogosławił świętym trudom. A lzy żalu obmyły ślady stóp Misjonarzy. W roku 1846 doznała Galicja najokropniejszej plagi najboleśniejszej klęski, to jest rzezi, gdzie brat ostrzył nóż na brata i w piersi jego go utopił, gdzie ludzie schneśli od strachu, a oczy ustawały od płaczu. Wtenczas to w tej nawałnicy okropnej, kiedy nikt nie wiedział co począć i gdzie się obrócić, wtenczas to ten zakonnik X. Antoniewicz piersiami swoimi wstrzymuje ów potok rozbestwienia i stawając wśród rozhukanej tłuszczy przypomina jej konstytucję Boską, zapisaną w sercu człowieka i wyrzyna na kamiennych tablicach: »Nie kradnij! Nie zabijaj!« Zrazu odpychany, prześladowany, do kościoła nie wpuszczony, bez żadnej obrony, bez opieki, z krzyżem tylko w ręku idzie do karczmy i szuka tego co było zginęło! W karczmie, wśród zniewag osobie jego wyrządzanych, rozpoczyna dzieło nawrócenia i mimo zatwardziałości i zakamieniałości serc słuchaczy, nie ustaje i woła, póki ich nie zmiękczył, póki nie położył płazem u stóp Zbawiciela. A teraz zmiękczonych i upokorzonych prowadzi do kościoła przed sąd Boga żywego! tu im odkrywa ciężkie rany Ojczyźnie zadane, tu im pokazuje matki, żony, sieroty pomordowanych, wytrąca im nóż zbrodniczy z ręki i wyciska strumienie żalu i pokuty.

(Dokończenie nastąpi.)

Jak djabeł dusze do piekła napędzał.

(Według podania normandzkiego.)

(Dokończenie.)

Ale wróćmy do naszego opowiadania:

Gotową okowitę w beczkach przewieziono do gospody „Pod Złotą Pehlą“. Sprytny żydek umiał gości przynęcić, częstując zrazu za darmo — to też lotem błyskawicy rozeszła się szeroko i daleko wiadomość o znakomitym napoju.

W gospodzie tłok panował od rana do wieczora, rozpromieniony szynkarz z pomocą swej Sary i bachorków przynosił jeden dzban po drugim i nie mógł nadażyć nalewania szklanek przybywającym bezustannie gościom.

Nie znano jeszcze wówczas małych kieliszków do wódki; pito więc „ognistą wodę“ dużemi kuflami od piwa. Wkrótce wszystkim w głowie zaszemrało i zaczęła się kłótnia. Zawezwano policję. Mężowie bezpieczeństwa wychyliwszy jednak po szklannicy, nie czuli się zbyt pewnymi na nogach, a zato w wesołym będąc usposobieniu, woleli patrzeć na wszystko beczynnje. Bójka wtedy zawrzała na dobre, aż spokojni dotąd zazwyczaj mieszkańcy poranili się i potłukli tak, że trzeba było do szpitala ich odnieść. To ich jednak nie odczyło zagładania do kieliszka. W tej wódce djabełskiej musi być jakaś smoła lepiała, bo kto jej raz pokosztuje, już nie ma siły oderwać się i ciągle do niej powraca.

— Niezły początek — zawołał djabełek — ale musi być jeszcze lepiej.

Wódkę za namową djabełka odstąpiono po cenie złota innym szynkarzom w miasteczku.

Wielkie plakaty zachwalały nowy wynalazek, a ludzie łatwowierni w niedzielę hurmem spieszyli do szynkowni, aby tylko spróbować wódeczki. Próbowali tak długo, że biedne żony do późnej nocy doczekać się ich nie mogły, a cały tygodniowy zarobek utonął w kieszeniach żydowskich handlarzy.

W domach zapanowały swary, bijatyki — bieda, kłótnie — złodziejstwo, zły przykład dla dzieci.

Djabełek ręce zacierał i mruczał:

— To jeszcze nie koniec.

Pejsaty właściciel gospody „Pod Złotą Pehlą“ przez swych krewniaków, żydków, rozesał wódkę do okolicznych miast i wiosek, kazał im tuż przy kościołach wynająć lokale na karczmy i rozpijać lud pobożny.

I to się powiodło. Kościoły nawet podczas nabożeństwa świeciły pustkami, a w karczmach tłoczono się i poszuchiwano. Ten i ów, nie mając pieniędzy, pił na kredyt, długi rosły, a wkrótce uprzejmy żydek karczmarz zabierał chłopu z obory za długi krówkę, konika, wreszcie całą wziął zagrodę.

Płacz był wtedy i lament, niestety zapóźno!

— Teraz już ludzie poznali moją wódeczkę — rzekł djabeł sam do siebie — nauczą się wkrótce ją wyrabiać. Widzę już, jak w każdej niemal wiosce powstanie gorzelnia, znajdzie się karczma, a ludzie uczyć się w niej będą grzechu i rozpusty.

I zaśmiał się szyderczo tak głośno, że aż pijacy, śpiący na ławach w karczmie, przebudzili się na chwilę. Śniło im się potem, że ich djabeł chwytła za włosy. Ale i ten sen nie zdołał ich poprawić.

Garbusek tymczasem pożegnał się z gospodarzem z „Pod Złotej Pehły“, który już się był dorobił wielkiego majątku, powiedział, że go noga boli i musi leczyć się w szpitalu. Noga była istotnie od samego początku obwiązana kilku chustkami, ale nie dla tego, że go bolała, tylko, by ukryć zdradzieckie kopytko djabełskie. Poszedł i już nie wrócił. W szpitalu nikt go nie widział, był już w piekle, gdzie mu zgotowano uroczyste przyjęcie.

Interesa już znacznie się tam poprawiły. Dusze ludzkie padały istotnie tak licznie, jak płatki śniegu podczas zimy.

— Nasz garbaty djabełek — zawyrokował Lucyper — zasługuje na order pierwszej klasy i na wyższą posadę, tak nam się dobrze przysłużył.

Odtąd garbusek nosa w piekle zadzierał. Mówią jednak ludzie, że znowu niedawno zjawił się na ziemi i nauczył dystrybutorów wyrabiania z takiego spirytusu przeróżnych likierów i wódeczek pachnących, by handel szedł coraz lepiej, a ludzie rozpicci zupełnie, zaparli się wiary i ołczyzny, a wybierali do Sejmu samych bezbożników — na tem bowiem okropnie teraz piekło zależy.

Hektor kamieniecki.

»Niema kraju nad Podole« — woła poeta Pol w »Pieśni o ziemi naszej« i ma słuszość, o ile chodzi o glebę tak urodzajną, że »kraj cały jednym łanem«, »płynie mlekiem, płynie miodem«, zaś — »lud cały wielkim panem«.

W zamierzchłej przeszłości było tu inaczej: harcowały konie dzikie na stepach, pasły się żubry, a szlakami wśród traw wysokich ciągnęli podobno Hunnowie, lud barbarzyński, który dotarł aż do Rzymu w V-ym wieku po Narodzeniu Chrystusa.

Stosunki Polski z Podolem, pierwotnie należącym do książąt ruskich, nawiązują się od XIV stulecia, kiedy Kazimierz Wielki rozciągnął granice państwa przez przyłączenie Rusi Czerwonej aż za Zbrucz. Perłą Podola, jego okiem i strażnicą, tudzież oparciem bezpiecznym dla ludu w czasie wojen był gród Kamieniec »ręką Boga budowany« na wyspie skalistej, oblany ze wszystkich stron niemal rzeką Smotryczem, z wyjątkiem wąskiego przesmyka, którym się łączył z resztą kraju, ale i ten przystęp zamykał zamek, podwójny — nowy czyli ziemny, złożony z wałów, i stary murowany.

Mieszkali tu w XIV wieku książęta Korjatowicze, imiona ich przypomniał Sienkiewicz w »Ogniem i mieczem«, ale życie ich przesunął prawie o 300 lat naprzód. Przez pewien czas za Jagielly zdawało się, że Podole należeć będzie do Litwy, która od Smoleńska i Wiaźmy na północy aż do morza Czarnego śmiała sięgała ramiony. Udało się jednak Polakom Podole z Kamieńcem przyłączyć do Korony. Niestety! Był to kraj wystawiony, zwłaszcza w XVII stuleciu na ciągłe najazdy tatarskie, na gwałty buntu-

jących się Kozaków i rzadziej na straszne najścia armij sultańskich. Panowie, którzy tu władali olbrzymimi obszarami, osadzali na ziemi Mazurów, przeważała jednak ludność ruska, rządzenie w takim półobcym kraju było trudne.

W czasie okropnych wojen z Chmielnickim Kamieniec przetrzymał próby zdobycia szczęśliwie.

Było to miasto bogate, handlowe i dosyć ludne. Mieszkali w niem Polacy, Rusini, Niemcy, Żydzi, Ormianie, Wołosi, a w pobliżu — Tatarowie nieco spolszczeni, zwani Lipkami. Dwadzieścia siedm kościołów i cerkwi liczył ten gród podolski. Przewalały się tu z towarami bogactwa, a z bogactwem szło nieodłączne zepsucie, hamowane pracą apostolską dominikanów, francisz-

kanów i jezuitów, na czele świeckiego duchowieństwa od kilku wieków stawiali tu biskupi. Ale na to szczęśliwe i bezpieczne pozornie miasto spaść miała od południa burza. Pierwsze jej odgłosy zabrzmiały w r. 1671. Turcy sposobili wielką wyprawę na Polskę, niesyci sławy i łupów, jakie niedawno zdobyli w walkach morskich z republiką wenecką.

Panował nam w tym czasie miłościwie, ale nie-

fortunnie król Michał Korybut Wiśniowiecki, syn groźnego »Jeremy«, ani rycerski, ani mądry, ani zdrowy. Ojciec jego nie doszedł czterdziestki, sfatygowany bezustannym czuwaniem wojennym; syn był cherlakiem i odziedziczył po rodzicu jeno — dumę. W kraju był niepopularny, panowie spiskowali przeciw niemu; prymas Prażmowski, Sobieski hetman i inni tylko z Francji oczekiwali męża, któryby i szyki zbrojne doprowadził na wroga i cugle na-



Widok ogólny Kamieńca Podolskiego (wiek XIX).



Pan Wołodyjowski na polu bitwy.



Wołodyjowski w klasztorze.

łożył nieokiełzanej wolności szlacheckiej. Tymczasem wieści z Carogrodu brzmiały zastraszająco: wojna była nieunikniona, tem cięższa, że sułtan miał po swojej stronie Tatarów, Kozaków i Wołochów, my zaś na nikogo liczyć nie mogliśmy. Właśnie w 1672 r., kiedy się wojna turecko-polska zaczęła, na Zachodzie rozgorzały walki na wielką skalę; wszczął je Ludwik XIV, król francuski, przeciw Holendrom, a do tych walk wmieszał się cesarz niemiecki, król angielski, elektor brandenburski i inni.

Niestety! szlachcie polskiej ani się śniło o wojnie. Kiedy z Kamieńca przybyła na sejm delegacja, prosząc o pomoc przed spodziewaną nawałą turecką, to skąpi Wielkopolanie skarżyli się, że i tak za dużo idzie wydatków na twierdzę, a inni żartowali, że Turczyn nie z szablą, ale z mydłem zjedzie i rodzenkami, a od takiego słuchania Kamieńczanom aż serce pękało. I rozszedł się sejm, nie załatwiwszy obrony kraju, tak, że jedynie Trzebiecki, biskup krakowski, przyobiecał przysłać do twierdzy kamienieckiej pułk własnym kosztem wystawiony.

Przyszło 500 chłopów roslęgo i zaprawnego do boju, ale doliczywszy do tego parę pułków po 200 ludzi każdy, nieco Rusinów i Tatarów, to załoga wyniosła zaledwie 1060 żołnierzy, to też nic dziwnego, że nad wszystkich stroskany był pan Jerzy Wołodyjowski, pułkownik chorągwi wołoskiej, wojak stary, doświadczony i meżny.

Wołodyjowscy byli szlachtą miejscową. Na Podolu istnieją wsi Wołodyjówka i Wołodyjowce, skąd się ten ród mógł wywodzić, wszakże kronikarz do-

nosi, że Wołodyjowscy przybyli aż z księstwa moskiewskiego, w którym wieku, jak dotąd nie wysłędzono, zapewne w końcu XV. Przodkowie pana Jerzego dzielnie się sprawiali na polach bitewnych: widziano ich przy zdobywaniu Połocka za Batorego i przy oblężeniu krnąbrnego Gdańska za tegoż króla, a potem z panami puszczali się na awanturnicze wyprawy do Wołoch (Besarabji), to znów ucierali się z Tatarami i Turkami, jeden z nich był towarzyszem księcia Samuela Koreckiego, który wpadł w niewolę turecką. Pan Jerzy dzielnie musiał się sprawować, skoro został pułkownikiem, pułk wprowadził miał niewielki, ale żołnierze sprawni w nim służyli, w rygorze wojskowym wyćwiczeni, za skinieniem wodza iść gotowi w piekło. Widocznie za zasługi został »stólnikiem przemyskim«, a więc już był »jaśnie wielmożnym«, choć wątpliwa, czy bogatym, rodzinna, bodaj jedyna wioska jego Sokół leżała niedaleko Kamieńca, Stała w niej cerkiew pod wezwaniem św. Michała i zapewne dlatego Wołodyjowski występuje w »Trylogji« Sienkiewicza pod temże imieniem. Zdaje się, że pan pułkownik Jerzy nie miał żony, przynajmniej nic o tem nie wspomina imię Makowiecki, stólnik latyczowski, który z nim był jako brat rodzony, a który dzieje oblężenia miasta i ostatnich dni pana Jerzego spisał w rymowanej relacji. Wiadomo natomiast, że Wołodyjowski miał siostrę i matkę, a stryj jego jako gwardjan franciszkański zamieszkiwał w klasztorze kamienieckim. Owóż pan pułkownik mocno zafrasowany słabą liczbą obrońców, gdy i u armat acz 400 ich stało, brakowało puszczarzy, zwyczajem



Wołodyjowski na okopach.



Pogrzeb Wołodyjowskiego.

ówczesnym obronę zaczął od szukania języka. Z ust jeńców dowiedziano się, że sam cesarz turecki Mahomet IV z wojskiem, jak głoszą 350-o tysięcznym, a jak inni twierdzą 150-o tysięcznym w lipcu przekroczył Dunaj, a 2-o sierpnia stanął w historycznym Chocimiu. W dziesięć dni później zagrzmiął działa kamienieckie: spłoszono jeźdźców bisurmańskich, chwytających bydło, które się pasło pod miastem.

Właściwe oblężenie Turcy rozpoczęli w dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej, a roboty oblężnicze prowadzili równocześnie z gwałtownym ostrzeliwaniem warowni, a przerywali je na chwilę przy zacieklých szturmach. W tem dziele wojskowem dopomagali im sprawnie inżynierowie francuscy, niepomni na grzech i na przyjaźń obu krajów chrześcijańskich. Początkowo obrona szła nieźle i Mahomet IV widocznie niedowierzał zdobyciu twierdzy, zachęcając listami do poddania się. Mienił się być »wnukiem prawdziwego Boga«, wojska swojego moc przyrównywał do piasku w morzu, do liści na drzewach i gwiazd w niebiosach. A na to szedł respons (odpowiedź), że »Kamieńca nie poddamy, bośmy na Boga żywego przysięgli bronić kościołów i twierdzy aż do śmierci.« I takby istotnie się stało, gdyby naczelnym jedynym wodzem był pan Jerzy Wołodyjowski. Ale on miał głos nie pierwszy; biskup kamieniecki, pan generał Potocki i inni przeważnie mieli słowo. Tymczasem Turek nie próżnował: walił z kartaczów czyli dział-murołomów po 400—500 razy dziennie, miny podsadzał pod nowy zamek i zrujnował go; obrońcy cofnęli się do starego. Ale już im ręce mdlały od roboty, przywołano na pomoc mieszczan i Ormian kupców i Żydów 18-u, których postawiono przy armatach, aby je rzytownali, ale nawet działa odmawiały posłuszeństwa, rwały i raniły tych, którzy przy nich stali, tak że gwałtem zmuszano puszkarzy, aby zostawali na miejscu. Duszą obrony był pan Wołodyjowski, ale nie mógł pokazać wszystkiego co umie, bo był do konnej służby wdrożony, a tu ani pół nie było na harce, ani wycieczki nie udawały się, bo straszliwy ogień działowy uniemożliwiał posuwanie się z zamku. Ale pan pułkownik mimo tych niepowodzeń sądził, że w zamku na skałę zbudowanym oprze się nawale, byleby do każdej ściany dosyć było ludzi. Wielki szturm bisurmanów, przypuszczony zaraz po wybuchu składu granatów w kaplicy luterskiej, Wołodyjowski odparł z wielkimi dla Turków stratami. Lecz już się wkraść robak wątplenia w serca tych panów, co w mieście siedzieli i wpatrywali się w zamek. I kiedy pan Jerzy zaręczał, że załoga nie o poddaniu, ale o miotaniu kul i granatów myśli, to władza wyższa od niego przewidywała konieczność kapitulacji, aby uchronić miasto i lud od zupełnej zakłady. I znowu Turczyn uderzył na twierdzę, na ostatnią jej ostoję — zamek stary. W bitwie pierś o pierś padają podwalni i przyjaciele Wołodyjowskiego, a on niepomny na chwilę klęka i ściska dłoń umierającego rotmistrza, starca, z którym lata spędził razem na wojaczce. A wtem się porwał jak lew i walczył zawzięciej, a straszniej niż kiedykolwiek, jeśli zaś cudem prawie cios go nie dosięgnął, znać, że zegar jego jeszcze nie dochodził ostatniej godziny, jak pisze o nim wspomniany Makowiecki, towarzysz jego i świadek bohaterskich zmagani z wrogiem.

Noc zapadła i Turcy się wycofali, zabierając rannych i zabitych, ale po niebie jak błyskawice latać zaczęły granaty, a stuk podziemny zwiastował, iż bisurmanie szykują się do wysadzenia zamku. Obrońcy w przewidywaniu tego wal przez środek zamku zaczęli kopać na ostateczną śmiertelną walkę.

Ale starszyzna widziała bezowocność oporu, postanowiono dla ocalenia jednych od śmierci, innych, kobiet zwłaszcza od hańby, zawrzeć z sułtanem traktat, poddać twierdzę, ale wycofać żołnierzy, broń, mienie i ludu co się da. W tej chwili zwątpił nawet sam Wołodyjowski. »Pod nami, powiedział do Makowieckiego, prochy we troje podłożone, gdy się zapala, mur nas przywali, lub w powietrze wysadzi, poczem Turcy, wolne przejście mając, na miasto się rzucą. Mówię ci, wszystko skończone, trzeba innego ratunku szukać.« Ale co miał na myśli, nie wyjawiał. Tymczasem posłano kilku do przyjęcia warunków poddania, a gdy wrócili nieszczęśni posłowie do uyskkania zgody i stanęli w kościele wśród tłumu, na wieść o kapitulacji płacz niełudzki wstrząsnął murami świątyni. Wołano, że to zdrada! Wołodyjowski udał się na zamek, aby jak sądzono ostatni uczynić porządek. I znowu wyszli posłowie z miasta dla powiadomienia Turków, że warunki ich zostały przyjęte. W odrętwieniu oczekiwano ich powrotu. Wtem huk straszliwy rozległ się, jakby cały zamek wysadzano. Po mieście dech gorący wionął. Rzucono się ku zamkowi, aby ratować go przed zdobyciem, mniemano bowiem, że Turcy miny wysadzili, a teraz szturm przypuszczają. Oczom nadbiegłych przerażający roztoczył się widok: Kawałki mięsa i kości, krew, części ubrania wały się dokoła. Rychło objaśnił ktoś ocalałych żołnierzy, że w wieży zamkowej zamknął się pan major artylerji Hecking, i usiadłszy na beczce prochu zapalił się lontem, a tak wysadził siebie wraz z kilkuset żołnierzami w powietrze. Wśród poległych był pan pułkownik Jerzy Wołodyjowski. W chwili wybuchu stał konno w dziedzińcu, chciał się podobno usunąć, ale kartacz lecący w głowę go uderzył i wyrwał mu tylną część czaszki, twarz pozostała niewzruszoną. Traf chciał, że właśnie wtedy posłowie wracali od Turków, a cegła z walącego się muru ugodziła w głowę wysłannika. Było to 28 sierpnia 1672 r.

Sienkiewicz przypuszcza, że Ketling-Hecking był w zмовie z Wołodyjowskim, ale się pośpieszył z wysadzeniem zamku. Z relacji Makowieckiego wynika, że pan Jerzy gotował się jak inni do wyjazdu, zemstę nad wrogiem zostawiając na później. Jakkolwiek bądź był on duszą obrony i dlatego biskup kamieniecki nazwał go »Hektorem«, bo jak bohater starożytnej Troi, nie mogąc zwalczyć Greków, zginął przynajmniej śmiercią walecznych. Nie poszedł jak starszyzna w kaftanie winszować (z musu) sułtanowi zdobycia Kamieńca. Nie doszły go rozpaczliwe wołania niewiast branych w jasyr dla padyszacha, wezyra i baszów.

Po krwią zwierząt skropionych ulicach Mahomet IV konno wjechał do katedry, zamienionej na meczet. W innych kościołach urządzono stajnie lub koszary, wyciśnięto z mieszkańców ich dobytek.

Zgroza przeszła po całej Polsce. Już się król Michał Korybut szykował do ucieczki na Śląsk, pannie do Gdańska. Na obczyźnie staremu ekskrólowi Janowi Kazimierzowi serce pękło z żalu. W październiku tegoż roku słaba i rozdwojona Rzeczpospolita podpisała traktat z Turkami, oddając im Ukrainę i Podole i obiecując płacić rocznie 20 tysięcy zgorą dukatów. A do Kamieńca wprowadzono 12 tysięcy, wyborowego żołnierza i twierdza ongi polska przez lat 27 uragała próbom zdobycia jej przez Sobieskiego. Aż tyle nie przez wojnę, ile przez układy dyplomatów, z pośrednictwem Anglii i Holandji w 1699 r. wróciła do Polski i pozostała w jej mocy do drugiego rozbioru.

Historyk Kamieńca Podolskiego dziwił się, iż w li-

stach z owych czasów imię Włodyjowskiego powtarza się tak często, a o losach ludności obojętnie się wspomina.

Powieściopisarz i patriota, jakim był Sienkiewicz, rozumiał odrazu, iż Włodyjowski był postacią niezwykłą, skoro go sam biskup kamieniecki Hektorem był nazwał, rozumiał także, że narodowi, nękanemu przez Moskali i Niemców, bohaterów jak pan Jerzy należy wysuwać z pośród tłumu innych dzielnych ryce-

rzy; dlatego napisał Trylogię, a w niej część specjalnie poświęconą panu Wołodyjowskiemu w r. 1888.

Teraz kolej na historyków. Niechże który podejmie się wysledzić ród bohatera kamienieckiego, dzieje wojenne tegoż i szczegółowo opisać jego zachowanie się w obronie Kamieńca. Wszak minęło 250 lat od śmierci pana Wołodyjowskiego, a nie mamy dzieła poświęconego „pierwszemu żołnierzowi Rzeczypospolitej.”

H. T.

Taniec śmierci.

Opowiedziała J. K. Tel.

(Ciąg dalszy.)

Rozdział II.

Majówka niezbyt się udała z powodu wypadku, jakiemu uległ jeden z uczestników, Józio Mandel; mianowicie tańcząc w lesie poślizgnął się i upadł tak nieszczęśliwie, że sobie nogę nadwichnął. Zważyło to humor wszystkim.

Bal odłożono na tydzień, wobec niedomagania Józia, który był jego projektodawcą. Noga go bolała, ale już mu było lepiej, więc przywożono go na wózku do parku i doktor obiecywał, że wkrótce zle ustąpi.

Tymczasem zbierano się na muzyce i bawiono bardzo wesoło; do tego towarzystwa należała też rodzina Sz. z Poznańskiego; dołączyły się też żona wybitnego warszawskiego doktora medycyny z nader przystojną i miłą córką, oraz parę innych rodzin ziemiańskich.

Młode towarzystwo udało się na pobliską łączkę, starsze zaś panie zostały na miejscu.

— Wiecie, panie — odezwała się po chwili Polkowska — że mnie się nie podoba to, że doktor tak zabrania spożywania owoców.

— Eh — odpowiedziała Świderska — to stary dziwak.

— A jednak — wtrąciła obywatelka z Litwy — nas przestrzegano przed wyjazdem, że w tej okolicy pokazała się cholera.

— Dobrze, że tu niema jakiego żyda — zaśmiała się doktorowa — boby panią ukamieniował za użycie tego wyrazu, oni sądzą, że to wywołuje chorobę.

— Coś jednak niedobrego jest w powietrzu, służba między sobą szepcze, a co zwróciło moją uwagę to to, że nie mogąc wczoraj zasnąć, wstałam z łóżka i usiadłam w otwartym oknie, pragnąc się ochłodzić; cicho i pusto było, wtem wysunął się z bocznej ulicy orszak niosący nosze, a na nich przykryte na pewno zwłoki ludzkie.

— To niczego nie dowodzi — przerwała Świderska — uzdrowisko to nie posiada monopolu nieśmiertelności, zjazd jest wielki, poważnie chorych nie zabraknie, a przecież są i stali mieszkańcy.

— Zapewne, ale dla czegoż tak potajemnie wynoszą?

We wszystkich kuracyjnych miejscowościach taki jest zwyczaj — objaśniła doktorowa — ażeby nie wywierać przykrego wrażenia na chorych.

— Ja sądę — wtrąciła Polkowska — że gdyby naprawdę wybuchła epidemia, toby nas lekarze przestrzegali, toć to przecież ich obowiązek!

— W tem się pani myli — odparła doktorowa — tego nie można od nich wymagać, bo w takim razie wszyscy goście odrazu by się rozjechali.

— To lepiej, niż narażać ich życie!

— A skąd pewność, że w innej miejscowości choroba ich nie dosięgnie — odpowiedziała Polkowskiej doktorowa — wszak w Warszawie stwierdzono już kilka wypadków, a w innych okolicach epidemia grasuje nie na żarty. Lekarze spełniają swój obowiązek, przestrzegając spożywania wszelakich surowizn, straszyc zaś gości nie mogą, bo wiadomo, że ci co się boją, najprędzej chorobie ulegają.

— No to ja na pewno zachoruję — odezwała się panna Agnieszka — bo przyznaję, że się okropnie lękam cholery.

— To źle, nie trzeba się obawiać, tembardziej, że są to tylko nasze domysły. Przytem ja mam przekonanie, że przed śmiercią nigdzie uciec nie można.

— Pójdźmy — rzekła Polkowska — przypatrzeć się, jak młodzi się bawią.

Rozdział III.

Nadszedł nareszcie dzień balu, młodzież tak molestowała doktora X., że przyspieszywszy zwykłą zabawę o dwa dni, oddał na sobotę salę balową do ich rozporządzenia.

W mieszkaniu Polkowskich ruch był ożywiony, ulegając bowiem nie tyle błaganiom młodzieży, ile prośbom swojej pieczętowanej zgodzili się na przyjęcie zaproszenia. Wychodząc z zasady, iż wszystko powinno się zaczynać od Boga, panna Agnieszka na intencję pierwszego występu Hani, poszła z nią i młodszem rodzeństwem dnia tego do spowiedzi i Komunii św. Punktualnie o trzy kwadranse na ósmą państwo Polkowscy z Hanią wyglądającą uroczą w skromnej białej muslinowej sukience, wsiedli do najętego powozu, a że dzieci wyprosiły sobie pozwolenie pojechania, żeby choć przez okno zobaczyć zabawę, przeto Staś wdrapał się na kozioł, Zosia wsunęła się ostrożnie obok Hani, unosząc jej suknię, aby się nie zgniotła.

W dobrą godzinę potem wróciły rozbawione dzieci do domu w towarzystwie służącej, którą po nie posłano.

— Ach moja paniusiu — zawołała Zosia — jak Hania słicznie wygląda i jakie ma powodzenie! Wprost ją sobie z rąk do rąk wyrrywają i jednogłośnie uznano ją za królową balu.

— Skąd o tem wiesz? — spytała panna Agnieszka.

— Bo kilku kawalerów wyszło wypalić papierosy na werandę, gdzieśmy stali i słyszeliśmy jak to mówili.

— Tak — przerwała Zosia — oni nas nie zauważyli i droga paniusiu! umawiali się dać sobie odstępnę, ażeby jeden drugiemu nie przeszkadzał w zdobyciu panny milion; jacy ci mężczyźni wstępn!



PANCERZ OCHRONNY PRZECIWKO KULOM NAPASTNIKA.

Agent policyjny zabezpieczony pancerzem.

Kula nie zdoła przebić pancerza ochronnego.

Sennecke.

— Przecież nie wszyscy — zaprzeczył Staś — tylko ci dwaj, którzy podobno są goli jak święci tureccy, takie urządzą kawały.

— Ależ, Stasiu — przyganiła guwernantka — gdzie ty się takich gminnych wyrażen nauczyłeś?

— Paniuleczko droga, wszyscy moi koledzy tak mówią.

— Tak — odrzekła — to jest... karczemne!

— Wcale nie, paniusiu, bo chłopci tak nie mówią, tylko złota młodzież.

— Siadajmy do herbaty, a potem spać, bo już późno.

— Spać!!! — wykrzyknęły razem dzieci.

— Ależ paniusiu — prawil Staś — i tak co dzień chodzimy spać razem z kurami, jak byśmy mieli po trzy lata; a przecie jutro jest niedziela!

— No i pierwszy występ Hani na balu — do-dała Zosia, niechże i nam panusia pozwoli posiedzieć do jedenastej. Droga, kochana paniuleczko!

Zaczęła przytem tak obcałowywać guwernantkę, że wkońcu postawili na swoim.

Po herbacie panna Agnieszka udała się do sypialni, ażeby odmówić pacierze; zostawszy same dzieci zaczęły znów gwarzyć o powodzeniu Hani.

— Zobaczysz — rzekł Staś — że ona wnet za maż pójdzie, a potem przyjdzie kolej na ciebie i ja zostanę sam jak palec.

— Nie, mój Stasiu — roześmiała się Zosia — zostaniemy jak dwa palce, jak papużki nierozłączne! Ja przedewszystkiem jestem za młoda, żeby myśleć o małżeństwie, a potem mam zamiar zostać stara panną.

— Dlaczego?

— Bo nie chcę się z tobą rozłączyć; tylko...

— Cóż takiego?

— To, że ty się ożenisz i może twoja żona nie zechce...

— Ja ożenić się? Ani myślę! Wiesz przecie, że nie znoszę dziewczynek, głupie to, mazgajowate i nie-znośne!

— Dziękuję ci bardzo tak w swoim jak w ich imieniu!

— Wiesz dobrze, że nie mam ciebie na myśli, bo ty nie jesteś wcale dziewczynką.

— Jakto? Więc czemże ja jestem?

— Moją Zochną! Moją ukochaną bliźniaczką — zawołał.

— Tak, mój Stasieczku — odpowiedziała przy-tuliwszy się do niego — sędzę, że my dlatego tak się kochamy, że jesteśmy bliźniętami, mnie nawet czasem przychodzi do głowy, że mamy tylko jedną duszę, to też wcale sobie nie wyobrażam życia bez ciebie.

— To mi przypomina dziada i babę! Wiesz co? zabawmy się w dziada i babę, z rozdaniem ról, nie będzie trudu.

— No, a śmierć?

— Śmierć? — zastanowił się chwilę, wybiegł z pokoju i wrócił, niosąc szczotkę do zamiatania. — Ot i śmierć! Wiadomo, że jest jak kij sucha i z-amiatą ludzi; ubierzemy ją w prześcieradło i będzie podobna do owych duchów w Robercie Djabie.

— Doskonale, prześcieradło możnaby wziąć z two-iego pokoju, bo jest zawieszzone na twojem ubraniu, ale trzeba by przejść pokój, w którym siedzi panna Agnieszka.

— Nie siedzi tylko kłęczy odwrócona plecami do pokoju, a że w ostatnich czasach słuch jej się trochę przytępił, zatem mogłabyś przesunąć się na palcach, tak, żeby cię nie spostrzegła.

— Masz rację, tembardziej, że jak się zatopi w modlitwie, nic nie wie o świecie Bożym... Spróbuję!

Wyszła po cichu, a Staś podczas jej nieobecności przyniósł ławkę z werandy i szlafroki ojca i matki z ich pokoju. Niebawem też wróciła przybrana w duży czepek, w którym guwernantka sypiała, Zosia, niosąc triumfalnie prześcieradło i szpilki potrzebne do upięcia go na szczotce. Tak udekorowaną postavili ją kijem do dołu w kącie przy kominku, sami zaś przebrali się w szlafroki rodziców i spoj-rzawszy na siebie, wybuchnęli śmiechem.

— No, zaczynajmy — zakomenderował Staś — bo nie mamy wiele czasu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)